

MYŚLIWIEC

WARMIŃSKO



MAZURSKI

DODATEK DO NR 1 (91) / 2022

Na 100-lecie urodzin Edwarda Kopczyńskiego

Biadanie nad stanem czytelnictwa w Polsce od lat jest powszechne i... bezowocne. Kultura obrazkowa rozwija się lawinowo, coraz częściej proste potwierdzenie „Tak!” zastępowane jest łapką (pomijam pleniące się nawet w kręgach ludzi wykształconych, tragiczne językowo „dokładnie”). Z okazji setnej rocznicy urodzin, z niejaką więc satysfakcją przypominam w drugiej już publikacji trylogię łódzkiego pisarza i myśliwego Edwarda Kopczyńskiego, który w ostatniej ćwierci XX wieku zawładnął umysłami adeptów łowiectwa i przetrwał w roli mentora, pomimo zalewu publikacji, zwanych „literaturą łowiecką”.

Zatytułowana „Ślady na śniegu”, druga część trylogii Edwarda Kopczyńskiego, (celowo rozpocząłem cykl od końca, by dojść do początków historii) opowiada o zwykłych, myśliwskich przygodach, zafascynowanych łowiectwem uczniach siódmej klasy szkoły podstawowej Michale i Jacku, którzy pod okiem dziadka Michała, leśniczego Dulęby, poznają życie braci myśliwskiej jednego z łódzkich kół łowieckich. Nie brak w ich przejściach motywów dydaktycznych, poznawczych ale i niebezpiecznych zdarzeń. Nie bagatelizując, podyktowanych względami ówczesnej sytuacji w kraju, ideologicznych wtrętów oraz z konieczności przyjmując tamten kontekst, tłumaczę autora z tematyki społeczno-politycznej, włączonej w myśliwskie opowieści. Jednego ze snujących „biesiadne” opowieści myśliwskich przynależność w czasie wojny do jedynie „słusznej” partyzantki, sterowanej przez obce siły, szkolna lektura obowiązkowa, która odwiecznych wrogów przedstawiała jako zbawicieli – są to jedynie marginalia, o których jednak nie można zapominać. Mógł autor je wyciszyć, lecz nie zrobił tego i tak zapisał się w historii literatury socrealistycznej.

Mimo wszystko, opowieść nie traci walorów przygodowych, które wchłaniane były przez spragnionych myśliwskich przeżyć, zafascynowanych odbiorców. Czytamy opisy różnych polowań, polnych i leśnych, warunki ich prowadzenia z zachowaniem zasad bezpieczeństwa. Oprócz polowań także współcześnie dostępnych według prawa łowieckiego, dowiadujemy się o polowaniu teraz prawie zapomnianym z racji objęcia ochroną rzadkiego gatunku zwierzyny jakim jest wilk. Tropienie, objazd rewiru w poszukiwaniu tropów wejściowych i wyjściowych w celu stwierdzenia obecności wilczej watahy i fadrowanie, czyli otoczenie zaległych w gąszczu wilków specjalnie przygotowanym w tym celu sznurem z uwiązanymi, czerwonymi paskami materiału. Wilki zamknięte we fladrach obawiają się ich i nie przekroczą

„groźnych” sznurów, a w pewnym miejscu, gdzie je zdjęto, stoi myśliwy. Dziś znamy takie polowania tylko z opowieści.



Jan Jerzy
Józwiak

Z przyczyn naturalnych znikł objazd lisa na polu, saneczkami zaprzężonymi w konika, czy podjazd rogacza bryczką. Po prostu zanikł z braku koni, sanny albo bryczki; czasem przygotowuje się takie polowania myśliwym zagranicznym, by zachęcić ich do przyjazdu do Polski. Często się to udaje bowiem nikt nie jest obojętny na piękno! Któż zaprzeczyłby urokowi takich łowów, scenerii zimowej wyprawy w mrozie, sanny po wielkich połaciach pól zasypanych śniegiem, gdy człowiek i koń tworzą jedno w pokonywaniu przebiegłego drapieżnika jak przez lata doświadczeń przekazała nam myśliwska tradycja. Podobnie podjazd rogacza w polu, gdy myśliwy niepostrzeżenie wysiada w dogodnym miejscu, a bryczka bez zatrzymania się odjeżdża. Kozioł nie widzi nieruchomej sylwetki człowieka, spogląda za znikającym, niegroźnym już obiektem i powraca do żerowania. Łowca ma wtedy dużo czasu na spokojną obserwację, ocenę i ewentualny strzał.

Nie sposób w rozważaniach na temat „Śladów na śniegu” pominąć kwestii, według mnie kluczowej, mianowicie historyczno-literackiej tradycji legendarnych opowieści o początkach państwa polskiego, zapisanych w kronikach dziejopisów. Pamiętamy legendę o Grocie Łokietka, w której ukrył się przyszył władca, król Polski, chroniąc się przed najazdem konkurentów do tronu krakowskiego. Gdy drużyna Łokietka znalazła się w głębi pieczary, wejście do niej zasnuł swą przędzą pająk, który pojawił się nagle i niespodziewanie. Najeźdźcy zobaczyli pajęczynę, wywnioskowali więc, że nikt tam nie wchodził i nie odkryli zbiegów.

Tę legendę wykorzystał w opowieści biesiadnej po polowaniu autor „Śladów...”, konstruując wspomnienie z czasów wojny, gdy przed spodziewanym pościgiem Niemców, ranny partyzant dotarł do brzegów jeziora i ukrył się za stertą okrągłaków. Leżał tam długo i czasem odzyskując świadomość, obserwował godowy lot dzikich kaczek nad taflą wody. Wreszcie, kończąc swe zaloty, kaczki siadły i czyściły pióra dziobami. Wtedy nadeszli tropiący go żołnierze wroga. Jeden z nich – z jego okrzyku na widok dzikich kaczek wynikało, że był przed wojną myśliwym – podobnie jak ów czeski wojak w XIII w. stwierdził że nikt nie mógł się tam ukrywać, w przeciwnym bowiem przypadku, płochliwe kaczki nie siedziałyby na jeziorze. Tak kaczki uratowały życie człowieka!

Finałem zimowej opowieści o przygodach chłopców w dziadkowej leśniczówce, jak z niezwykłą frazą na rogu myśliwskim Ronda Vivace z Koncertu Fortepianowego e-moll Fryderyka Chopina, była historia poszukiwania postrzałka dzika w zapadającym zmierzchu grudniowego wieczoru. Narastająca niepokojem akcja wynikała z przyspieszenia zdarzeń, prawdziwe Rondo w krążeniu wkoło własnych śladów, dramaturgia upływającego czasu i nadciągającej ciemności, także niezaprzeczalny strach przed groźnym i nieznanym, czającym się tuż – wszystko to było ich udziałem w biegnących minutach. Wreszcie, jak zagrany w koncercie, ów hejnał przygodzicki, szczerkanie Nory dało im wybawienie z nieszczęścia. Całkiem epicko, zgrabnie zbudowana fabuła była jednym z powodów popularności utworu Edwarda Kopczyńskiego. Zresztą nie jedynym, można się o tym przekonać czytając całą trylogię.

Kopczyński zapoznany

W rozwoju literatury każdego gatunku następują okresy wielkich dzieł i takich, które do wielkości tylko aspirują.

Istnieje przekonanie, że najwybitniejszym utworem sławiącym polowanie jest napisany na emigracji w I połowie XIX wieku epos narodowy „Pan Tadeusz”. Przyjęcie takiej konstatacji w zasadzie wyklucza rozmowę o innych utworach, zarówno poetyckich jak i prozatorskich, mając na uwadze ciężar gatunkowy naszej, romantycznej epopei. Wprawdzie rozbiegając zawartość dzieła, widzimy nawet w przebiegu polowania w Księżce IV jego metaforyczne rozumienie, jednak nie przekreśla to głębokiego realizmu opisów. Szukając w historii literatury polskiej podobnego utworu, mamy pewien kłopot. Bo przecież warto przyjrzeć się twórczości Mikołaja Reja czy autorów sielanek: Szymonowica i Karpińskiego, ale więcej odkryjemy w późniejszej literaturze nawet XX wieku, czytając Weysenhoffa lub choćby Karpowicza. Gdy wśród myśliwskich opowieści znajdziemy pisarza może nie podobnej miary, jednak przecież tego, który zawładnął spragnionymi przygodami umysłami młodych czytelników, zrozumiemy magię jego popularności. Wiadomo, tym autorem jest Edward Kopczyński – twórca uznanej trylogii, na którą składają się tytuły: „Kłusownik chodzi nocą”, „Ślady na śniegu” i „Egzamin łowiecki”.

O dwóch ostatnich pozycjach była mowa wcześniej. Poczytajmy fragment pierwszej:

Którego dnia Michał zapytał dziadka:

– Jak można zwierzynę kochać i zabijać ją?

– Dobrze, że pytasz o to, Michaś. To świadczy, że potrafisz myśleć.

– Dziadziuś mówi poważnie? – spytał podejrzliwie Michał.

– Najpoważniej. Takie pytania zadają często dorosli, zdarza się, że i jakiś leśnik, no, bo rzeczywiście, jak można kochać i zabijać... [...]. Zwierzynę można kochać, ale trzeba ją strzelać. Nie wolno dopuścić do dysproporcji między liczbą zwierzyny a ilością żeru, szczególnie w okresie zimy. U nas, leśników, nazywa się to niedostosowaniem ilości zwierzyny do możliwości pokarmowych terenu.

Takie pytania stawiane są i dziś, nie tylko przez dzieci. Zadają je również zagorzali przeciwnicy łowiectwa, którzy prócz pustosłowania kierują się często, a w zasadzie najczęściej, względami koniunkturalnymi, interesami różnych grup społecznych, także materialnymi korzyściami wielkich korporacji finansowych.

Dyskusje z nimi są bezprzedmiotowe, bo ich rolą nie jest osiągnięcie konsensusu, lecz likwidacja łowiectwa i przejęcie zysków.

Bohater naszej opowieści znajdował się w innych uwarunkowaniach społecznych, politycznych i gospodarczych. Dziś taka odpowiedź, jaką otrzymał od swego dziadka, jest nie tylko niepełna, ale i niewystarczająca. Na niezbędność łowiectwa mają wpływ zmiany środowiskowe, kultura rolna, stosunki własnościowe. Zaburzenia bioróżnorodności są dziś tak rozległe, że łowiectwo (już nie myślistwo!) staje się nauką ścisłą, a myśliwi (nie pozyskiwacze!) to niemal naukowcy na poziomie wyższym niż podstawowy! Oczywiście z wyłączeniem ekodziałaczy!

Opisy przygód nastoletnich chłopców, które tak fascynowały już więcej niż dwa pokolenia czytelników, nie dotyczą wyłącznie scen myśliwskich. Michał i Jacek zbierają grzyby, podziwiają przyrodę w otoczeniu leśniczówki dziadka Dulęby, są świadkami życia ludzi wsi i lasu, z gajowym dziadka łowią ryby, co dostarcza im niesamowitych doświadczeń. Nawet to, co jedzą na co dzień w domu dziadka, sprawia im niezwykłą radość. Smażona na patelni jajecznica z jaj od wiejskich, żyjących na swobodzie kur, gorące mleko prosto od krowy, gdy zmoczonych po tropieniu kłusownika rozgrzewała nim zziębniętych chłopców gospodyni dziadka – wszystko to było inne niż w mieście, bardziej naturalne, nawet radosne.

Na kanwie tych niezwykłych przygód autor buduje finalny wątek, będący efektem moralnych zasad wyniesionych z domu dziadka-leśniczego. W czasie grzybobrania Michał odkrywa wstrząsający przypadek kłusownictwa. Przejęty, niemal przerażony widokiem uduszonej na wnyku sarny postanawia z pomocą Jacka przyłapać kłusownika na gorącym uczynku. Ich działania nie są łatwe, idą w nocy przez pola, po omacku, na dodatek zaczyna się mżawka przechodząca w deszcz. Gdy wreszcie ukazuje się sprawca, muszą śledząc go, czołgać się, by uniknąć w drodze dekonspiracji. Trudno powiedzieć, by się nie bali, przecież to jeszcze dzieci! Wszystko jednak dobrze się kończy, chłopcy są dumni, rodzice i dziadek również. Natomiast czytelnicy od półwiecza zachwyceni fabułą, przygodami, dreszczykiem emocji nie dopuszczają myśli, że nikt nie jest nieomylny, nawet ten, co tak myśli. Nie rozdzielają literackiej fikcji od prawdziwych zdarzeń, a bieg powieściowych treści sterowanych potrzebami dydaktycznymi przyjmują dosłownie, jak koncert Wojskiego na bawolim rogu!

By wierni czytelnicy Edwarda Kopczyńskiego nie zostali z błędnym wyobrażeniem o wartości dzieła, pogłębianym przez stochastycznych felietonistów, trzeba w podsumowaniu zawrzeć ocenę, wyjaśnienie, prawdziwy obraz! Opowieści Kopczyńskiego bronią się same: przemawia za nimi ponad półwieczna popularność, nie tylko wśród młodzieży! Wracają do nich także ci, którzy młodość mają za sobą. Dlaczego? Bo poruszają odwieczne dylematy stosunku do żywej przyrody, relacje międzyludzkie, problemy dojrzwania, przyjaźni i a także walki dobra ze złem. Często takie opowieści powstają na zamówienie społeczne; też nie dosłownie, że ktoś składa zapotrzebowanie. Zamówienie takie wynika z potrzeb społecznych. Dobrze, jeśli nie jest sterowane ideologicznie, przez polityczne układy. Powstałe w ten sposób utwory stają się po pewnym czasie „niestrawne”. Trzeba wielkiego talentu literackiego, by uniknąć losu zwykłych „produkcyjniaków”, sławiących nowe, płynące ze wschodu teorie społeczne. Kto był świad-

kiem triumfu „Popiołu i diamentu” Andrzejewskiego, światowej kariery filmu Wajdy ze Zbyszkciem Cybulskim, opartego na tej powieści, ten rozumie. Powieści Kopczyńskiego nie są takiego formatu, ale zapisały się w wiernej pamięci czytelników. Dziś pewnie przeżywają swoją swoistą metamorfozę, ale to już temat na inną rozmowę.

Wyjątkowy dzień... ..w rok ... życia ... na zawsze

Przypadające na 3 listopada wspomnienie o św. Hubercie stanowi moment, w którym na chwilę możemy zadumać się nad naszą łowiecką misją, którą zobowiązaliśmy się wypełniać, myśliwską etyką, której mamy przestrzegać oraz tradycją, którą przysięgliśmy dochować. Jednak najważniejszym momentem łowieckiego roku każdego koła jest uroczyste polowanie hubertowskie, którym myśliwi składają hołd swemu patronowi i zwyczajowo otwierają sezon polowań zbiorowych. To właśnie Hubertus znajduje się w centrum życia koła, ściągając do ukochanej kniei kolegów po strzelbie, pozwalając im spotkać się, wspólnie polować i biesiadować.

Niech ta nieporadnie skreślone słowa, opisujące Hubertusa AD 2021 w moim KŁ „Knieja” Olsztyn, będą pamiątką wyjątkowego dnia i związanych z nim wydarzeń...

Polowanie hubertowskie KŁ „Knieja” Olsztyn zaplanowano na sobotę po św. Hubercie, czyli szóstego listopada. Dzień przywitał nas jesiennym chłodem i prognozami zapowiadającymi przelotne opady deszczu. Nic jednak nie było w stanie zmącić dobrego humoru – wszak myśliwy zna pogodę do polowania wyłącznie dobrą i tę, która łowom sprzyja wyjątkowo. W głowie kołatała i nie dawała spać jedna myśl... dziś HUBERTUS!

Już od brzasku myśliwi zaczęli zjeżdżać do Wichrowskiego Domku. Nikt nie chciał się spóźnić, wszyscy natomiast pragnęli nacieszyć się wspólnie spędzonym czasem. Podniosła atmosferę najważniejszych łowów roku czuć było od chwili, gdy myśliwi wysiadali z samochodów. Od początku budowało ją wszystko wokół – i otoczone szwedzkimi pochodniami igliwie na pokot, i gwar rozmów dawno niewidzianych kolegów, i krzątająca naganka i granie psów.

Wyjątkowość dnia wprost unosiła się w powietrzu, a w połączeniu z wyteśnieniem wspólnych łowów nabrała takiej mocy, że można było ją wręcz poczuć. Wszak to Hubertus, który odbywa się po rocznej przerwie w polowaniach zbiorowych, spowodowanej obostrzeniami pandemicznymi. Pierwszy, pod kierownictwem nowo wybranego prezesa koła Tomasza Tokarczyka i 65.! (tak!) Hubertus w życiu Honorowego Prezesa Koła Piotra Sikorskiego. To także dzień, w którym ruszając na łowy, będziemy mogli po raz pierwszy oddać się w opiekę św. Huberta, uchylając kapelusza przed kapliczką, którą tego dnia przyszło nam poświęcić. W końcu to dzień wyjątkowy dla mnie – moje pierwsze polowanie hubertowskie, w którym przyjdzie mi uczestniczyć jako pełnoprawny myśliwy i przed „Apelem na łowy” uroczystość złożyć myśliwskie ślubowanie.

Wraz z rozwidnianiem się rósł gwar, a myśliwski tłumek gęstniał. Pojawiali się kolejni myśliwi, zaproszeni goście i członkowie naganki, a ciszę poranka raz po raz przerywały szczenięcia towarzyszącym nam psów.

W jednym momencie umilkły wszystkie rozmowy i szmery porannej krzątającej, nawet psy przestały po-

wę. Wracajmy do tej dobrej lektury, w czasie obecnych przeobrażeń społecznych pozwoli nam ona zachować zgodną z myśliwską tradycją „twarz”.



Paweł
Błażewicz

szcze kiwać i przez chwilę jedynym dźwiękiem, który towarzyszył szumowi wichrowskiej kniei był sygnał „Zbiórka myśliwych”.

Na dźwięk sygnału, w kilka chwil pozorny bałagan przygotowań stał się niepozornym porządkiem rozpoczynającego się polowania. Każdy zajął należne mu miejsce: prowadzący polowanie i goście, myśliwi, naganiacze i psy. Przy sygnale „Powitanie” uderzyło mnie piękno i rozmach naszych hubertowskich łowów. Do polowania przygotowywało się 43 myśliwych, 3 zespoły naganiaczy, gotowe do pomocy psy... piękny widok.

Po powitaniu, omówieniu zasad bezpieczeństwa oraz wskazaniu na co i w jaki sposób polujemy, nadszedł czas na wyjątkowy moment poświęcenia kapliczki ku czci św. Huberta. Głos zabrał Aleksander Sawczuk. W kilku słowach odniósł się do historii koła i jego siedziby w Wichrowskim Domku. Przybliżył postaci patronów myśliwych: św. Huberta i św. Eustachego, a na koniec stwierdził, iż od tego dnia związek dwóch kniei, czyli naszego koła i kniei wichrowskiej, będzie uwieczniony przez miejsce wzniesione w celu zawierzenia opiece patrona myśliwych.

Kapliczka św. Huberta przy Wichrowskim Domku została wykonana z wyciętego na terenie nadleśnictwa pnia lipy przez pochodzącego ze Smolajna artystę Wiesława Bożomańskiego.

Uroczystego poświęcenia rzeźby dokonał kapelan olsztyńskich leśników oraz nasz kolega myśliwy ks. Mariusz Rybicki. W pięknych słowach modlitwy oddał wszystkich zgromadzonych opiece św. Huberta i dał za przykład tego, który dla dobra ludzi i przyrody kierował się jedynie szlachetnymi pobudkami.

W symbolu naszej kapliczki widać zjednoczenie lasu, miejscowej ludności i myśliwych. Wszak z lasu jest pień, z którego kapliczkę wyrzeźbiono. Jej piękno jest owocem pracy rąk ludzi tu żyjących, a całości dopełniają myśliwi, którzy właśnie tu prowadzą gospodarkę łowiecką czerpiąc z darów lasu i chroniąc uprawy.

Niech św. Hubert ma w opiece las, mieszkańców i myśliwych, którzy jego opiece się oddali i stworzyli ten widoczny znak ufności we wstawiennictwo...

Po poświęceniu kapliczki nadszedł czas na kolejną część wydarzenia, czyli ślubowanie myśliwskie... moje ślubowanie. Nie będę ukrywał, że był to dla mnie moment wyjątkowy. Poluję już drugi rok lecz przez pandemię nie miałem honoru złożyć uroczystego ślubowania w obecności kolegów i uroczystej oprawie Hubertusa. A może i dobrze, bo mając zaszczyt złożenia ślubowania w dniu poświęcenia kapliczki, na świadków wydarzenia mogłem wziąć nie tylko zgromadzonych kolegów, ale także prosić o opiekę naszego patrona.

Nie będę krył, że przyjąłem to bez wzruszenia. Narastające napięcie czułem od momentu, gdy się obudziłem. Napięcie narastało z każdą chwilą i mieszało się z dumą i wdzięcznością wobec tych wszystkich. Emocje sięgnęły zenitu, gdy poproszono Honorowego Prezesa

Koła Piotra Sikorskiego, aby przyjął nasze ślubowanie. Nasze, bo tego dnia obok mnie, ślubowanie składał Darek Cywiński. Wystąpiliśmy więc z szeregu, a w krok za nami ruszyli nasi wprowadzający: mój – Jarek Parol i Darka – Radek Bystrzycki.

Gdy stanęliśmy przed wszystkimi, Piotr Sikorski – z właściwą sobie swadą, rozważą i doniosłością – przypomniał nam, a także wszystkim zgromadzonym myśliwym, o wadze ślubowania i składanych w jego czasie zobowiązaniach. Wysłuchanie słów zacnego nemroda jako ostatnich przed własnym ślubowaniem było dla mnie zaszczytem i wielką przyjemnością, ale też zobowiązaniem by z taką samą wytrwałością jak Piotr iść moją (naszą z Darkiem) łowiecką drogą. Moment nabrał tym większej doniosłości gdy okazało się, że Honorowy Prezes też składał ślubowanie 6. listopada, ale... w 1956 roku! Co oznaczało, że nasze ślubowanie odbierze w sześćdziesiątą piątą rocznicę własnego.

Po pięknym wstępie, dumnie rozbrzmiał sygnał „Ślubowanie myśliwskie”. Zagrał go pięknie na parforcie Krzysztof Krill. Nie grał nasz drugi „etatowy” sygnalista Jarek Parol. Jarek w tym arcyważnym momencie był obok mnie. Jak zawsze staliśmy ramię w ramię, tak samo jak w każdej chwili mojej łowieckiej przygody: w czasie stażu, kursu, egzaminów, czy polowań, z poszukiwaniem zawierania włącznie.

Gdy na dźwięk sygnału „pasowanie” zgięły się nasze kolana nie wiem co czuł Darek. Ja byłem zaszczycony i onieśmielony jednocześnie. Onieśmielony zaszczytem wstąpienia w szeregi rycerzy św. Huberta i ślubowaniem składanym na ręce kolegi Piotra, a jednocześnie zbudowany obecnością przyjaciół: Krzyśka, na którego zawsze można liczyć, redaktora Jacka i Jarka Trusiaka, który jest mym dzielnym i niestrudzonego towarzyszem łowów i któremu podprowadzenia do pierwszego dzika nie zapomnę nigdy. Przede wszystkim zaś czułem złożoną na ramieniu rękę przyjaciela, przewodnika i wybawiciela z opresji – Jarka Parola. Bez niego nie znalazłbym się w tym miejscu nigdy!

Słowa ślubowania wybrzmiały pięknie – z przejęciem i z drżącym głosem. Zgodnie z tradycją ślubowaliśmy, a pozostali myśliwi wspominali własne zobowiązania do: przestrzegania praw łowieckich, postępowania zgodnie z etyką łowiecką, zachowania tradycji łowieckiej, ochrony przyrody, dbania o dobre imię łowiectwa i godności myśliwego...

Wraz z pierwszymi nutami sygnału „Darz Bór” przyjęliśmy życzenia, by „na chwałę polskiego łowiectwa, być prawymi myśliwymi i niech Bór nam darzy!”

Włożyłem kapelusz, na ramię założyłem ulubioną tikkę i serdecznie ściskając wprowadzającego usłyszałem rozpoczętą krzyżem na czole w dniu strzelenia pierwszego zwierza formułę: „W Boga wierz, dobrze mierz, legnie zwierz”.

Moje marzenie w tym momencie się dopełniło. Stałem jako pełnoprawny myśliwy wśród przyjaciół, z psami u boku, tuż przed wyruszeniem na polowanie, z sercem pełnym nadziei i wiary w dochowanie złożonych przed chwilą ślubów.

Wreszcie przyszedł czas by ruszać na łowy...

Przed wyjazdem, prowadzący polowanie kolega Krzysztof Brzeziński dokonał stosownych czynności w zakresie obowiązków i jak to mówią... ogary poszły w las. Ruszających na polowanie myśliwych w tym wyjątkowym dniu pożegnał nie tylko „Apel na łowy”, ale także, skomponowany przez Feliksa Nowowiejskiego, sygnał „Wyjazd na polowanie” (tu nieoceniona okazała się pomoc Iwony Ostrowskiej, która wsparła sygnalistów zapisem nutowym).

W naszym przypadku ogarów nie było ale zawzięte na zwierza łajki, teriery (w tym jeden warmiński), niezmordowane wachtelhundy i gończy polski.

Psy wraz z naganką rozpoczęły ciężką pracę w gęstwinie i podmokłych terenach aby zwierz choć trochę chciał pokazać nam, jak małe szanse ma myśliwy w konfrontacji ze zwierzyną dziko żyjącą, w przeciwieństwie do zwierząt hodowlanych w starciu z rzeźnikiem. Stąd w łowiectwie bierze się szacunek do zwierza i tego co nam daje. Każdy, kto choć raz zada sobie trud polowania, nie marnuje żywności tak jak konsument kupionego w sklepie „wyrobu mięsopodobnego”.

Myśliwi mieli przyjemność polowania, gdyż w dwóch akcjach przygotowali nowe zwyczki, z których polowali tego dnia, a miejmy nadzieję i będą polować przy kolejnych sposobnościach. Natomiast, pod czujnym okiem i przewodnictwem kol. Marka Orzechowskiego praca w miocie była wzorowa. Świadkowie mówili, że „naganiacze tego dnia szli za psami w młodniki jak lwy ... i niestraszne im były ni to igły ni pająki...”

Po trzech godzinach łowów, w niezbyt korzystnych warunkach pogodowych (prognozy o deszczu okazały się prawdziwe), odnalezieniu wszystkich pracujących psów i członków naganki udaliśmy się na zakończenie polowania.

Pokot z należyтым szacunkiem do upolowanego zwierza, choć nie był szczególnie bogaty, wprawdzie nie tylko muzycznej, dał nam poczucie, że tradycje niosą w sobie przede wszystkim wartości niemierzalne w pieniądzu i tego nam nie wolno zapomnieć. Z racji identycznych wyników mieliśmy dwóch królów polowania – Henryka Hołowaczyka i Zenobiusza Zduniaka. Obaj pozyskawszy po sarnie kozie i koźlęciu przyjęli gratulacje, symboliczne medale i okazjonalne upominki.

Warto też wspomnieć, że w chwili gdy myśliwi wracali z polowania, w naszej kapliczce zapłonęło pierwsze światełko. Witało ono zniechętych, ale całych, zdrowych i szczęśliwych łowców. Światełko zapaliła nieoceniona Bożenka Górecka, żona naszego zmarłego niedawno łowczego Konrada...

Dla mnie znów był to moment wyjątkowy. Stojąc wraz z panią Bożenką przy kapliczce i wpatrując się w płonący ogień wyznałem jej, że pierwsza styczność z kolegami z koła to sierpniowe kaczki, a kolejnym był pogrzeb jej męża. I mimo tego, że nie miałem okazji poznać go osobiście, to stojąc przed kapliczką wraz z jego żoną i znając jego syna, kolegę z koła Sebastiana (razem pracowaliśmy w miocie na moim stażowym Hubercie), tworzymy wspólną rodzinę i sztafetę pokoleń w olsztyńskiej kniei.

Po zakończeniu formalnych obowiązków przyszedł czas na wspólne biesiadowanie. Wspólny czas rozpoczęła doskonała dziczyzna, przygotowana przez Jarka Flisa z masarni „Flispol” z Miłomłyna. Nasze podniebienia cieszył pieczony z ziemniakami udziec z jelenia, pieczony w całości dzik z jabłuszkami i sałaty. Nie zabrakło gorącej zupy, ciasta i innych frykasów przygotowanych przez dobrego ducha naszego koła Bożenki Góreckiej. Wszystko było pyszne! Wieczorna część grillowa była sposobnością „chrztu” nowego paleniska, wykonanego w Krozmedzie, dokonanego smakowitą kiełbasą ogniskową, przygotowaną w „Wędzonakch Warmińskich”.

Dyskusje, zapach cudownych potraw, dymu z ogniska i dobra atmosfera trwająca do późnych godzin nocnych niech zostaną w naszej pamięci, a zgodnie ze starą maksymą, „co było na domku zostało na domku”. Darz Bór!

Rozemocjonowany myśliwy kronikarz

Paweł Błażewicz

Eye of the tiger redaktor Jacek Szczepanek